

Dopóki jeszcze mamy góry...

Planując tegoroczny Dzień Ziemi chcieliśmy się przekonać, czy uda się wyłamać z pewnej sztampy, jaką obrosło to święto - co zaobserwowaliśmy w poprzednich latach tu i ówdzie, Może to zresztą tylko efekt tego, że Dzień Ziemi zagościł w świadomości tzw. przeciętnego członka społeczeństwa, a może to machina współczesnej pop-kultury przetrwała kolejne treści... W każdym razie chcieliśmy uniknąć sytuacji, w której uczestnicy byłiby li tylko odbiorcami kolejnego koncertu, wykładu czy filmu.

Późnym wieczorem 1 maja przywitaliśmy długo wyczekiwanych gości z Harcerskiego Ruchu Ochrony Środowiska im. św. Franciszka z Asyżu, którzy nazajutrz od samego rana zabrali się do pracy. Po jakichś trzech godzinach na polanie przy Bacówce pod Wierchomlą (Beskid Sądecki) stanęły 4 namioty tipi i stoisko z wydawnictwami Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot oraz Popradzkiego Parku Krajobrazowego. Od 11.30, przez kilka godzin zapraszaliśmy dzieci i dorosłych do wspólnej zabawy w indiańskich grach zręcznościowych. Darek Morsztyn (HROŚ) opowiadał przy ognisku wewnątrz tipi o znaczeniu tradycji Indian i ludów tubylczych dla poszukiwania własnych sposobów na życie w harmonii z Naturą, a także o podejmowanych przez HROŚ konkretnych działaniach na rzecz Ziemi. Zainteresowanie budziły także ogromne psy rasy alaskan malamute, których hodowcami są Justyna i Darek. Pierwszego dnia wieczorem przy ognisku spotkały się dwie drużyny harcerskie: Czarna Jedyńka z Nowego Sącza i HROŚ-ki. Być może wymiana doświadczeń zaowocuje dalszymi kontaktami.

O samej imprezie tylko w wielkim skrócie, bo nasze zadowolenie z dobrze zorganizowanego przedsięwzięcia, które zresztą wzbudzało kontrowersje oraz wywoływało żywiołowe reakcje u przypadkowych turystów, wkrótce zostało przytłumione. I to wcale nie dlatego, że wyzywano nas od „oszołomów” i oskarżano o chęć zamknięcia polskich gór dla ludzi (co skądinąd wydaje się być ostatnią deską ratunku dla naszych gór). Poranny spacer na Jaworzynę Krynicką był bolesną wyprawą. Na szczycie budynek stacji kolei gondolowej przypomina „wspaniałą” sen technokraty i terminal portu lotniczego zarazem, a przytulne niegdyś schronisko pod Jaworzyną po „remontach” stało się hotelem górskim. W drodze powrotnej na chwilę przystaję, kiedy tuż nad moją głową wyśpiewuje radosne trele mały, kolorowy rudzik: jeszcze tu jestem... Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to podzwonne dla tego miejsca. Ale gdzieś w mojej głowie zabrzmiał inny refren: „A jeśli ktokolwiek jest w niebezpieczeństwie, gdyż zagraża mu reklama, zanieczyszczenie powietrza albo policja, niech zaintonuje zaklęcie wojenne Burego Niedźwiedzia: Daj Im w Dupę” (Gary Snyder „Sutra Burego Niedźwiedzia”). I tak będzie. Na Radziejowej zbudził się już Bury Niedźwiedź i nie da spokoju facetom od kolei gondolowych.

Siedząc przy stosiku z „Dzikim Życiem” obserwowałam tłumy rozmaitych ludzi, którzy przyzwyczajeni do telefantomów są już głusi i ślepi na to, co ich naprawdę otacza. Rowerzyści górscy, dla których szczyt jest tylko kolejnym „sportowym” celem (czyżby konieczna była kampania „Rowery stop”?) i wycieczka, której uczestnicy omal nas nie zlinczowali za stanowisko w sprawie olimpiady w polskich Tatrach oraz krytykę kolei na Jaworzynę. W jadalni schroniska ktoś przy stoliku obok rozprawia głośno o zakupionej nieopodal działce, na której „zainwestuje”. Żartujemy między sobą szeptem, że brakuje jeszcze koszy do street ballu na każdym drzewie i można byłoby organizować zawody koszykówki terenowej. Śmiech zamiera nam jednak na ustach, bo tyle już absurdalnych pomysłów doczekało się realizacji... W myślach spluwam przez lewe ramię na odczynienie uroków.

Starsza pani tłumaczy mi, że „przecież ludzie tacy są wyjeżdżają w góry samochodami, bo świat się zmienił i trzeba się do tego dostosować”. Nie będę się dostosowywać. Te góry są także i moim dziedzictwem, i mam prawo chcieć, żeby pozostały dzikie. Mam prawo nie zgadzać się na sposób,

w jaki się je „zagospodarowuje”. Góry nie są dla wszystkich, jeśli ktoś jest zbyt wygodny, żeby tutaj przyjść na własnych nogach, niech zostanie na dole.

Zatłoczona do granic możliwości Krynica jasno uświadomiła nam, że to ostatni moment, żeby upomnieć się o polskie góry. To, co się tutaj dzieje może sprawić, że utracimy jedne z najcenniejszych dzikich terenów. W naszym regionie są one wydane na pastwę lokalnych polityków, „biznesmenów”, nieuczciwych i chciwych urzędników oraz naukowców. Tutaj lokalna prasa zawsze przedstawia tylko jedną stronę medalu tę, którą wskażą ośrodki nacisku (lobby myśliwsko-biznesowo-inwestycyjne). O rzeczach, które są sprawą dotyczącą nas wszystkich decydują brudne i zawiłe lokalne układy. Dlatego zaczynamy wołać „Na pomoc polskim górcom!”, nawet jeśli nie widać żadnych sprzymierzeńców. Dzieją się tutaj rzeczy, o których nikogo się nie informuje, naturę niszczy się w ukryciu, cichcem, ale z premedytacją i w oczekiwaniu strumieni pieniędzy. Lokalne społeczności mami się wizją łatwego zysku. Trzeba powiedzieć to jasno: mieszkańcy gór zyskają o tyle, o ile uda im się „załapać” na sprzątaczkę i kelnerów w „nowym wspaniałym świecie”, bo inne, korzystniejsze role są przewidziane dla inwestorów z szerokiego świata.

Szykuje się trudna rozgrywka, bo to nie brak wiedzy, nieumiejętność czy zaślepienie są motywem tego rodzaju „przemian” w górskiej przyrodzie. Tymi, którzy mordują tu dziką przyrodę kieruje cyniczna, wyrachowana chciwość, a sekundują im sprzedajni naukowcy i służalcze lokalne media.

Anna Nacher

P.S. Kampania „Jaworzyna Krynicka” wciąż trwa, a jednocześnie rozpoczynamy szerszy projekt ochrony Beskidu Sądeckiego pod nazwą „Projekt Radziejowa” (nazwa pochodzi od najwyższego szczytu tego pasma - Radziejowej). Zainteresowanych pomocą prosimy o kontakt: Nowosądecki Oddział Pracowni Na Rzecz Wszystkich Istot, ul. Piastowska 5, 33-300 Nowy Sącz.